

WIADOMOŚCI DNIA

Dziennik ŁÓDZKI

Ukazuje się od 1884 roku

M A G A Z Y N

NR 246 WYD. A

PIĄTEK ■ 20 października 2006

CENA
1,30 zł
W TYM
7% VAT

Himalajskie lekcje

SYGNAŁ
MOJE PODRÓŻE

31

20 października 2006 ■ Magazyn ■ Dziennik Łódzki



Piękne, tarasowe pola uprawne w Himalajach są efektem znoјnej pracy tamtejszych rolników



Na himalajskim szlaku można spotkać coś dla ducha (na zdjęciu poniżej: stupa buddyjska) i ciała (powyżej: przenośny kurnik na plecach tragarza)



Jarosław Fischbach,
łódzki
podróżnik,
opisuje
wędrowkę po
najwyższych
górach świata

Spotkania z polskimi himalaistami, filmy z wypraw w najwyższe góry świata, wspaniałe książki i reportaże o tematyce wysokogórskiej od lat zachęcały mnie do wyjazdu do Nepalu i poznania przynajmniej jednej z wielu tras trekkingowych. Tymi wysokogórskimi ścieżkami turystycznymi można dotrzeć w pobliże większości ośmiotysięczników.

Jedna z krótszych i bardziej popularnych tras wiedzie do Sanktuarium Południowej Annapurny. Idzie się tam około 5 - 7 dni, powrót jest krótszy o 2 - 3 dni. Punktem wyjścia jest niewielka wioska Naya Pul, położona o godzinę jazdy autem z Pokhary. Poza małymi drewnianymi chatami tubylców jest tu duże turystyczne centrum usługowo-handlowe. Są liczne bary, restauracje, sklepy z artykułami spożywczymi, a także komisje ze sprzętem wysokogórskim. Nie brakuje też lokalnych agencji turystycznych, w których można wynająć przewodnika, tragarzy, kucharzy, a także muły, pomocne w transporcie bagażu. Jest też bardzo ważny punkt, w którym można kupić permit, czyli zezwolenie na wejście na szlak trekkingowy.

Sprzęt wysokogórski mamy swój, podobnie jak mapy i przewodniki. Żywić się zamierzamy w schroniskach. Daje to możliwość poznania miejscowej kuchni, a poza tym ceny są bardzo umiarkowane. Ciepły, dwudaniowy posiłek w schronisku to wydatek około 1 - 2 USD. Z pomocy przewodników i tragarzy też nie zamierzamy korzystać, a permit wykupiliśmy już wcześniej w Pokharze.

W dół na Annapurnę

Startujemy z 1070 m n.p.m. Sanktuarium Południowej Annapurny położone jest na około 4200 m n.p.m. Góry poprzecinane są licznymi, głęboko wciętymi dolinami rzecznyymi, więc wysokość, na którą wspinąć się będziemy z wielkim móżdżem, szybko stracimy, schodząc do kolejnej doliny. To pierwsza lekcja himalajskiej geografii.

Paradoksalnie, nasze wyjście w góry z Naya Pul zaczyna się od stromego zejścia do doliny rzecznej. W dole widzimy słynne wiszące mosty. Na przejście przez jeden z nich musimy jednak długo czekać, bo z przeciwnej strony idzie właśnie kawalkada obciążonych mułów, a one nie nawykły ustępować pierwszeństwa trekkerom.

Przed nami pierwsze bardzo strome podejście – najpierw po ułożonych kamiennych schodach, a następnie tradycyjnymi zakosami. Gdy wchodzimy na płaskowyż, oczom naszym ukazują się pola uprawne. Pracują na nich

kobiety, posługujące się motykami i sierpami. Kilka z nich ma przytroczone na plecach małe dzieci.

Dostajemy tu kolejną lekcję himalajskiej geografii. Jest wczesne popołudnie na przełomie kwietnia i maja, a więc czas na nadchodzący powoli monsun – musi padać deszcz! Leje intensywnie przez około dwie godziny. Dobrze, że w pobliżu jest zadaszona restauracja, w której wypijamy w tym czasie dobrą nepalską herbatę i regenerujemy nieco nadwątłone siły.

Mijamy kolejne himalajskie wioski. Tubylcy witają nas bardzo serdecznie, kłaniają się, trzymając złożone przed sobą dłonie i pozdrawiając nas tradycyjnym „namaste”. W pewnej odległości za nami idą tragarze, którzy podczas każdego odpoczynku podchodzą i pytają o nasze siły, proponując w razie czego swoje usługi.

Tempo naszego podejścia nie jest imponujące, dużo szybciej poruszają się miejscowi tragarze, którzy często nas mijają. Podziwiamy nie tylko tempo ich marszu i ogólną sprawność, ale często także ubiór i sprzęt. Niektórzy mają buty wysokogórskie, ale bardzo wielu tragarzy wspiną się w japonkach. Gdy zaczyna padać deszcz, wyjmują ze swych bagaży parasole. Towary na górę rzadko transportowane są w plecakach, częściej w workach, torbkach foliowych. Największe zdziwienie budzą tragarze, którzy dźwigają na plecach potężne druciane klatki, a w nich setki kur, które są podstawowym menu dla turystów.

Abstrakcyjnie niskie... ceny

Po ośmiu godzinach wędrowki osiągamy w końcu Gest House Kimche, położony na wysokości 1640 m n.p.m., i zatrzymujemy się na nocleg. Możemy wreszcie wypić piwo i podziwiać wspaniałe pejzaże. Przed nami słynna, piękna Machupuchare – święta dla Nepalczyków i niezdojdyta przez człowieka góra, a tuż obok Annapurna. Widok zapiera dech.

Pytamy właścicieli obiektu o pokoje. Dostajemy je bez problemu, a ich cena jest abstrakcyjnie niska (poniżej 1 USD) i adekwatna do warunków – podłoga to klepisko, ściany pokryte glinianą zaprawą, do spania trzy pryczki z siennikami i do tego świeca, bo prąd tu nie dociera. Prysznic to wiadro z wodą, która kiedyś była letnia i niewielka miseczka do polewania się.

Wyżej tylko z tubylcami

Nazajutrz musimy odrobić trochę drogi. Za nami wytrwale podążają ciągle chętni do pracy tragarze. Mijamy wysokogórski posterunek policji, gdzie sprawdzają nam permity. Znowu cały dzień: góra – dół – góra.

Po południu deszcz – zwiastun monsunu. Wpadamy już w pewien rytm, idziemy szybciej. Dziś są moje imieniny, chcemy być szybciej w schronisku. Już wiemy, że po przyjeździe do schroniska w pierwszej kolejności należy zamówić posiłek i tak robimy, ale popełniamy kolejny błąd – każdy zamawia inne danie. Jedzenie jest super, ale czekamy na nie dwie

i pół godziny. Wcześniejsze przyjsie do schroniska ma niewątpliwe zalety. Jedną z nich jest letnia woda. Przez cały dzień słońce zdążyło ją podgrzać tak, że nadaje się do kąpieli.

Ze względu na moje nadwątłone malarią siły decydujemy się w końcu skorzystać z usług miejscowych górali: przewodnika i tragarza. Ken to 38-letni Ghurung, o typowo tybetańskiej urodzie. Ma dużą rodzinę. Żona z trójką synów mieszka w Pokharze, gdzie w pobliżu lotniska prowadzi chińska restauracja. Ken stara się odwiedzać rodzinę raz w miesiącu. Na co dzień razem z siostrą prowadzi w Chomrungu niewielki hotelik i restaurację, a w Naya Pul ma 15 osłów, które wynajmuje tragarzom.

Drugi towarzysz eskapady to 16-letni chłopak, który na co dzień pracuje na roli. Mongoł (to jego imię) jest bardzo nieśmiały, nie zna angielskiego, jest z niższej kasty. Stara się cały czas trzymać na uboczu. Pełni tylko funkcję tragarza – w odróżnieniu od Kena, który okazał się dobrym przewodnikiem i wspinałym strategiem.

Wchodzimy coraz wyżej, zmienia się roślinność, klimat i krajobraz. W niższych partiach gór mogliśmy podziwiać pięknie, tarasowo położone pola uprawne, później miejscową dzunglę, w której towarzyszyły nam stada małą i ptaków, mogliśmy także oglądać kwitnące różaneczniki – symbol miejscowych lasów. Wyżej zaczynały się już lodowce, jeziora polodowcowe, a także dolina polodowcowa ze słynnymi wiszącymi mostami.

„Biesiady” na coraz wyższym poziomie

Wieczory są dość długie, bo zmrok zapada już około 19, więc spędzamy je z Kenem, „biesiadując” w schroniskach. Częstujemy go polskimi smakołykami, sami chętnie próbujemy miejscowych potraw.

W oczekiwaniu na posiłek Ken śpiewa nam nepalskie piosenki, my uczymy go polskich. Pewnego wieczoru, widząc dobrą zabawę, przylączył się do nas właścicielka hoteliku i specjalnie dla nas tańczy. Inni turyści, głównie z Europy Zachodniej, patrzą na nas dość dziwnie. Nie siedzą przy wspólnym stole ze swoimi przewodni-



kami i tragarzami. Sami planują kolejne dni wędrówki, uzupełniają notatki, grają w karty i czytają książki.

W nocy pada deszcz, poranek jest pochmurny, góry gdzieś zginęły w chmurach, ale później się rozpogadza. Przed nami wspaniały widok na Machapuchare – świętą górę Nepalczyków. Mijamy gaj bambusowy i fundamenty starego schroniska, zniszczonego przez lawinę. Wieczorem docieramy do pięknie położonego schroniska w Machapuchare Base Camp na wysokości 3750 m n.p.m. Po niewielkiej kolacji, szybko idziemy spać. Do dyspozycji mamy drewniane leżanki. Pod parapetem okna zalega gruba warstwa śniegu. Trzeba się zregenerować i oszczędzać siły na jutrzejsze podejście do Annapurna Base Camp.

Jak w siódmym niebie

Wstajemy grubo przed świtem. Gdy inni jeszcze śpią, bądź leżą w śpiworach, szybko wypijamy gorącą herbatę i ruszamy do góry. Ciężkie plecaki zostawiamy w schronisku.

Pogoda nam sprzyja, niebo jest bezchmurne. Początkowo widzimy góry oświetlone przez księżyc, później rozpoczyna się bajeczny, kolorowy wschód słońca. Ken pilnuje, żebyśmy nie szli zbyt szybko, dobrze rozłożyli siły. Jesteśmy w środku gór – gdzie nie spojrzeć, majestatyczne szczyty pokryte śniegiem i lodem. Jest tak pięknie, że nie czujemy trudów wędrówki, a podejście wydaje się wyjątkowo krótkie i łatwe. Jeszcze tylko wspinaczka na wysoką morenę i możemy podziwiać najwspanialsze himalajskie panoramy. Przed nami: Annapurna I, Annapurna South III, Huinchuli, Machapuchare i inne nierozpoznane przez nas szczyty. Dla tego widoku warto było podjąć wszelkie trudy. ● FOT. AUTOR



Jeden ze słynnych himalajskich mostów wiszących